

RENÉ STAUFFER

ROGER FEDERER

SON
10 LAT BAZEM
SINE CUIA NOV

BIOGRAFIA



ROGER
FEDERER

BIOGRAFIA



RENÉ STAUFFER

ROGER
FEDERER

BIOGRAFIA

TŁUMACZENIE:
BARBARA TOCZEK

KRAKÓW 2020

Roger Federer. Die Biografie

© Piper Verlag GmbH, München, 2019

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2020

Copyright © for the Polish translation by Barbara Toczek 2020

Wydanie dofinansowane z programu:

szwajcarska fundacja dla kultury

prohelvetia

Redakcja i korekta – Grzegorz Krzymianowski, Joanna Mika

Korekta merytoryczna – Tomasz Wolfke

Projekt typograficzny i skład – Joanna Pelc

Rysunki wewnątrz książki – Marcin Karaś

Okładka – Paweł Szczepanik / BookOne.pl

Fotografia na okładce – Pablo Franco / Art direction Tuti Gianakis for remixagency.com

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Drogi Czytelniku,

niniejsza książka jest owocem pracy m.in. autora, zespołu redakcyjnego i grafików.

Prosimy, abyś uszanował ich zaangażowanie, wysiłek i czas. Nie udostępniaj jej innym, również w postaci e-booka, a cytując fragmenty, nie zmieniaj ich treści.

Podawaj źródło ich pochodzenia oraz, w wypadku książek obcych, także nazwisko tłumacza.

Dziękujemy!

Ekipa Wydawnictwa SQN

Wydanie I, Kraków 2020

ISBN: 9788381296762



Wydawnictwo SQN pragnie podziękować wszystkim, którzy wnieśli swój czas, energię i zaangażowanie w przygotowanie niniejszej książki:

PRODUKCJA: Kamil Misiek, Joanna Pelc, Joanna Mika, Dagmara Kolasa

DESIGN I GRAFIKA: Paweł Szczepanik, Marcin Karaś, Agnieszka Jednaka

PROMOCJA: Piotr Stokłosa, Aldona Liszka, Szymon Gagattek, Tomasz Czernich, Lucyna Byrdy

SPRZEDAŻ: Tomasz Nowiński, Patrycja Talaga, Karolina Żak

E-COMMERCE: Tomasz Wójcik, Szymon Hagno, Łukasz Szreniawa, Marta Tabiś

ADMINISTRACJA I FINANSE: Klaudia Sater, Monika Pluska, Honorata Nicpoń, Ewa Koza

ZARZĄD: Przemysław Romański, Łukasz Kuśnierz, Michał Rędział

www.wsqn.pl

www.sqnstore.pl

www.labotiga.pl

SŁOWO WSTĘPU

W momencie ukazania się oryginalnego niemieckiego wydania tej książki minęły prawie 23 lata, odkąd po raz pierwszy ujrzałem na korcie Rogera Federera na własne oczy. Były to lata pełne superlatywów i peanów wznoszonych pod jego adresem, pozwalające 15-latkowi stać się mężczyzną, który po i tak niesamowitych już sukcesach dokonał jeszcze bardziej niewiarygodnego comebacku. Czasami mam wrażenie, że to jakaś bajka, że miałem szczęście towarzyszyć tej wyjątkowej karierze tak długo i z tak bliska, jak to tylko możliwe dla dziennikarza. Choć tak naprawdę na początku obrałem zupełnie inny kierunek, a tenis był dopiero moją drugą miłością.

Pierwszą był hokej, a doszło do tego, zanim jeszcze odkryłem klub tenisowy Weinfeldten z jego trzema kortami położonymi obok browaru i strumyka, osłoniętymi przez murki i zarośla. Sprawiający światowe wrażenie obiekt – tenis był wówczas jeszcze sportem wyłącznie dla pięknych i bogatych – zadziałał na mnie z magiczną mocą przyciągania, którą potęgował fakt, że sam nie mogłem go trenować. Od wczesnej młodości należałem do klubu hokeja na lodzie, a według moich rodziców członkostwo w dwóch klubach jednocześnie nie wchodziło w grę. Dlatego też ja i mój brat Kurt chodziliśmy na lodowisko, a Jeannine, moja starsza siostra, udzielała się w klubie tenisowym.

Dzięki niej miałem jednak – luźny, bo luźny – związek z tenisem i klubem oraz pretekst, żeby go odwiedzać. Coraz częściej wkradałem się na betonowe stopnie niewielkiej trybuny mieszczącej się na dachu klubowego budynku. Najpierw tylko gdy grała moja siostra, bo przecież nikt by mnie w takim momencie stamtąd nie wyrzucił, ale potem również wtedy, kiedy chciałem obejrzyć innych grających amatorów. Zafascynowany próbowałem zrozumieć ich zagrania i wyobrażałem sobie, że kiedyś sam znajdę się tam na dole i będę odbijał piłki.

Siostra musiała wyczuwać moją tęsknotę. Od czasu do czasu pożyczala mi jedną ze swoich starych rakiet i na dziedzińcu przed domem odbijałem piłki od ściany. Z niewielkiej odległości, jedno odbicie po drugim, aż puls mi szalał, pot łał się strumieniami, a mama wołała mnie na kolację. Rakietą była wspaniałym okazem – wykonana ze szlachetnego, lśniącego drewna, firmowana przez niejakiego Stana Smitha.

Stan Smith? Wtedy było to dla mnie tylko nazwisko, ale takie które rozbudzało moją fantazję. Co wiedziałem w tamtym momencie o świecie tenisa? Nic. Był to czas czarno-białych telewizorów, transmisje sportowe należały do rzadkości, a jeśli już się pojawiały, pokazywano raczej piłkę nożną, narciarstwo, a niekiedy boks. Cóż to były za czasy, gdy cała rodzina spotykała się w jednym pokoju, by mimo senności śledzić, czy może tym razem Cassius Clay zostanie trafiony... Również w gazetach praktycznie nie było miejsca na tenis, w przeciwieństwie do piłki nożnej, hokeja na lodzie, narciarstwa czy Formuły 1.

Nie wiem dokładnie, kiedy po raz pierwszy zobaczyłem telewizyjne migawki z Wimbledonu. Doskonale jednak pamiętam, że kort centralny ze swoimi pełnymi trybunami, idyllicznym, dostojnym parkiem i atmosferą natychmiast mnie zafascynował.

Ta sceneria zadziałała na mnie jak objawienie: a więc jednak tenis jest ważny, ma swoich wyznawców, a nawet miejsca kultu. Wimbledon był dla mnie jak katedra, z tysiącami ludzi, którzy – jak ja w klubie Weinfeldten – w skupieniu i z fascynacją śledzili lot piłek i walkę pomiędzy dwoma samotnymi przeciwnikami.

Na spokojnych, wypielegnowanych obiektach sportowych, na których organizacja działała bez zarzutu, a wszystko było na swoim miejscu, dwójka wyjątkowych ekspertów, prezentując sprawność, taktykę, wyczucie piłki, wytrzymałość, siłę nerwów, spryt i postawę fair play, pojedynkowała się za pomocą piłki i rakiet na oczach zafascynowanych widzów. Był to dla mnie rzut oka na świat, o którego istnieniu nie wiedziałem. Przeżyć Wimbledon, choćby raz, myślałem sobie. Kiedy lata później zostałem dziennikarzem sportowym, moja pierwsza relacja nosiła tytuł *Bogowie tenisa nadciągają do swojej świątyni*.

Klub tenisowy Weinfeldten ustąpił tymczasem miejsca osiedlu domków jednorodzinnych i został wypchnięty na obrzeża miasta. Czy siedząc w pojedynkę na betonowych stopniach, mogłem przypuszczać, że moim powołaniem będzie obserwowanie z boku, co dzieje się na korcie, że tenisowa karuzela stanie się również moim światem, a turnieje wielkoszlemowe moją drugą ojczyzną? Czy mogłem sobie wyobrazić, że szwajcarski tenis wkrótce ogarnie falą sukcesu, która poniesie i mnie? Że gdzieś w RPA właśnie nawiązuje się relacja, dzięki której pojawi się najbardziej utytułowany sportowiec w Szwajcarii, a ja sam będę miał szczęście przyglądać się z bliska jego rozwojowi – i to na stopie zawodowej – już od czasów juniorskich?

Kiedy na początku lat 80. zaczynałem pisać o tenisie, z fascynacją śledziłem, jak John McEnroe, Boris Becker i Stefan Edberg zostawali mistrzami na trawiastych kortach Wimbledonu

i odbierali złote trofea. Gdy w 1985 roku Heinz Günthardt – rok przed bajecznym Wimbledonem Beckera – przedał się do ćwierćfinału, był to dla Szwajcarii czas rozkwitu, a dla mnie jako reportera naprawdę wielka rzecz. Federer miał wtedy prawie cztery lata. Moje najśmielsze marzenia w tamtym czasie kończyły się na próbach wyobrażenia sobie, jak byłoby pięknie, gdyby Szwajcar znalazł się w Top10 i/lub zdołał dotrzeć do finału turnieju wielkoszlemowego. Choćby raz, i mógłby w nim nawet przegrać...

Jak mógłbym przypuszczać, że pojawi się mój rodak, który na największych Kortach Centralnych będzie triumfował, wzruszał do łez i znajdował się w centrum uwagi? I że do tego będzie jedną z najmilszych osób, jakie kiedykolwiek spotkałem?

Wtedy zaczął się helwecki tenisowy cud. Günthardt, który z powodu przewlekłej kontuzji stawu biodrowego musiał przerwać singlową karierę w wieku 27 lat, był pionierem, wybudził tenis w Szwajcarii z głębokiego snu. Później pojawił się Jakob Hlasek, który pod koniec lat 80. jako pierwszy Szwajcar dostał się do Top 10 i uczestniczył w turnieju Masters. Następny był Marc Rosset, mistrz olimpijski z 1992 roku, który wraz z Hlaskiem wdarł się do finału Pucharu Davisa i został pierwszym szwajcarskim półfinalistą turnieju wielkoszlemowego. W 1997 roku, dzięki 16-letniej wówczas Martinie Hingis, Szwajcaria dołączyła do krajów, których reprezentanci triumfowali w turnieju wielkoszlemowym. W grze pojedynczej wygrała pięć imprez tej rangi i została najmłodszym numerem 1 w tenisie.

A w końcu pojawił się on. Federer. Największy sportowiec, jakiego miał – i pewnie kiedykolwiek będzie miał – nasz mały kraj, i najlepszy ambasador, jakiego można sobie tylko wyobrazić. To, że za sprawą jego siły przyciągania w Szwajcarii pojawił się trzeci

triumfator turnieju wielkoszlemowego, Stan Wawrinka, wydaje się niemal surrealistyczne.

Niniejsza biografia jest moją drugą książką o Federerze. *Das Tennisgenie* (Tenisowy geniusz) została wydana w 2006 roku, była wielokrotnie uzupełniana, tłumaczona i zmieniana. Najnowsza wersja kończy się na jego 17. tytule wielkoszlemowym, zdobytym w 2012 roku. Im więcej czasu mijało od tamtego momentu, tym bardziej klarowne stawało się, że kolejnym dużym rozdziałem będzie koniec jego kariery.

Ale również bogowie tenisa musieli być pod wrażeniem wytrwałości Federera. I tak oto w wieku, w którym większość zawodników już dawno zakończyła karierę, podarowali mu comeback, jakiego sam Roger nie mógłby sobie nawet wyobrazić, raz jeszcze pozwalając mu na osiągnięcie niewiarygodnych sukcesów i na napisanie tenisowej historii na nowo. Dali mi tym samym motywację i materiał do stworzenia od nowa biografii Federera, bo wiadomo było, że jeden albo dwa nowe rozdziały nie wystarczą, by sprostac opowieści o jego karierze, życiu, a także roli, jaką odgrywa w tenisie. Zbyt wiele zdarzyło się w trakcie tych dziesięciu lat i da się to przeanalizować i uporządkować dużo klarowniej. Zbyt piękna i cudowna była historia jego powrotu.

Swoją otwartością i przystępnością Federer zawsze ułatwiał i uprzyjemniał pracę mnie i moim kolegom. Dzień po dniu, turniej po turnieju wzbogacał codzienność wielu ludzi, odnosząc niepowtarzalne sukcesy, a także prezentując człowieczeństwo, uczciwość i cierpliwość. Moje podziękowanie kieruję przede wszystkim do niego – nawet jeśli w ostatnim czasie nie brał czynnego udziału w tworzeniu tej biografii. Ale on albo robi coś z pełnym zaangażowaniem, albo wcale. Dzięki tej prostolinijności praca z nim jest tak przyjemna. Podziękowanie składam

również jego rodzicom, Lynette i Robbiemu, a także Severinowi Lüthiemu, Pierre'owi Paganiniemu i Tony'emu Godsickowi, którzy podobnie jak Federer wszystko traktuje ze szczyptą humoru. Dziękuję też moim współtowarzyszom wyjazdów, dzięki którym te wszystkie tygodnie, miesiące i lata na tenisowym korcie stały się niezapomnianymi podróżami. W szczególności Simonowi Grafowi, Heinzowi Günthardtowi i Danielowi Huberowi, którzy byli dla mnie wsparciem także w trakcie tworzenia tej książki. Moje podziękowania wędrują też do niezliczonych rozmówców i osób, z którymi przeprowadzałem wywiady i które były gotowe podzielić się ze mną swoim doświadczeniem i wiedzą. Dziękuję również wydawnictwu Piper, szczególnie Anne Stadler, Angeli Gsell i Steffenowi Geierowi. Na koniec największe podziękowania kieruję do mojej wspaniałej rodziny, Eni i Jessiki, które bez słowa skargi akceptowały to, że często pakuję walizkę tuż po tym, gdy niewiele wcześniej ją rozpakowałem, bym mógł znów podążać śladem Federera.

Müllheim, luty 2019

CZĘŚĆ I
POWRÓT



NADCHODZI KONIEC

Dwudziestego szóstego lipca 2016 roku Roger Federer zamieszcza na Twitterze i Facebooku wiadomość, która wstrząsa światem tenisa, a wśród jego fanów sieje panikę – Szwajcar decyduje się przerwać sezon. Tak po prostu, w środku roku, a na dodatek tuż przed igrzyskami olimpijskimi w Rio de Janeiro, które od dawna były pewnym punktem w jego sportowym kalendarzu. Pod Głową Cukru i Corcovado chciał przecież zostać mistrzem olimpijskim w singlu! Poza tym dzięki Martinie Hingis i Stanowi Wawrince otwierały się przed nim ogromne medalowe szanse także w deblu i mikście. W dodatku teraz miał nie wystąpić w US Open, Swiss Indoors, ATP Finals w Londynie... Czy w ogóle wróci jeszcze na kort?

Federer za dwa tygodnie ma świętować 35. urodziny. W tenisie to – zwłaszcza w singlu – sędziwy wiek. On w tym sporcie wygrał już prawie wszystko, co było do wygrania. Siedemnaście tytułów wielkoszlemowych, począwszy od Melbourne, przez Paryż i Wimbledon, a skończywszy na Nowym Jorku, i 71 innych wygranych turniejów. Na korcie zgarnął ponad 100 milionów dolarów nagród i zarobił wielokrotność tej kwoty dzięki sponsorom oraz wpływom z innych źródeł. Jest zwycięzcą

Pucharu Davisa, sześciokrotnym triumfátorem ATP Finals, czterokrotnym najlepszym sportowcem na świecie (Laureus World Sports Awards), mistrzem olimpijskim w grze podwójnej i przez 302 tygodnie prowadził w rankingu ATP – dłużej niż jakikolwiek inny tenisista. Ponadto w tym czasie został ojcem czwórki dzieci, prezesem wciąż rozwijającej się Roger Federer Foundation i współnikiem Tony’ego Godsicka w agencji Team8.

Po 20 latach w tourze, ponad 1200 meczach na zawodowym poziomie i potężnych obciążeniach, jakim tenisiści poddawani są w trakcie wielkich turniejów – a odpoczywają tylko przez kilka tygodni w roku – ciało Rogera zaczyna jednak wysyłać wyraźne sygnały świadczące o „zmęczeniu materiału”.

Kłopoty pojawiają się pod koniec stycznia 2016 roku. Dzień po tym, jak został wyeliminowany przez Novaka Đokovicia w półfinale Australian Open, w hotelu Crown w Melbourne ma właśnie zamiar wykąpać córki, Mylę i Charlene, gdy nagle czuje strzyknięcie w lewym kolanie. „Stało się to w trakcie bardzo prostego ruchu, który wykonywałem wcześniej milion razy” – opowiada potem. Tego dnia razem z rodziną przechadza się jeszcze alejkami zoo w Melbourne, ale zauważa, że kolano zaczyna mu puchnąć. Po powrocie do Szwajcarii idzie się przebadać. Diagnoza spada na niego jak grom z jasnego nieba: uszkodzenie łąkotki. Artroskopia jest nieunikniona.

Dla Federera to przełomowy moment w życiu. „Myślałem, że przetrwam karierę bez operacji. Byłem zszokowany i rozczarowany, słysząc to rozpoznanie”. Gdy wybudza się po zabiegu, czuje lęk. Doznaje dziwnego odczucia w okolicy kolana. Jak gdyby nie było już jego. Lęk nie trwa długo, ale jest potężny. Czy to dla niego koniec kariery?

Dwanaście dni chodzi o kulach. Najpierw musi odzyskać pewność, że kolano znów jest sprawne. Postępy widać jednak każdego dnia, a pierwsze tygodnie rekonwalescencji w Szwajcarii przebiegają pomyślnie. Federer jest ucieszony, ale i niecierpliwy. Już siedem tygodni po operacji leci do Miami, gdzie chce wrócić na tour. Z powodu problemów żołądkowych, które dopadły go na krótko przed startem, musi jednak zrezygnować.

Roger powraca na kort trzy tygodnie później w Monte Carlo. Dociera nawet do ćwierćfinału, w którym tylko o włos przegrywa z Jo-Wilfriedem Tsongą. Wprawdzie jest jeszcze daleki od typowej dla siebie formy, a jego ciało wciąż nie wydaje się w pełni sprawne, ale Roger się nie poddaje. W Madrycie strzyka go w plecach, więc także ten turniej musi odpuścić. Nie należy jednak do osób, które szybko rezygnują. W Rzymie męczy się dwa mecze, aż stwierdza, że z jego lewym kolaniem jest coś nie tak.

„Coś się musiało stać po Monte Carlo” – zastanawia się później. Z ciężkim sercem decyduje się zrezygnować ze startu na Roland Garros. Tym samym po 65 wielkoszlemowych turniejach z rzędu – to rekord – po raz pierwszy traci szansę na udział w jednej z czterech najważniejszych imprez tenisowych. Startujący po Paryżu krótki sezon na kortach trawiastych, który zwykle był dla niego punktem kulminacyjnym w roku, także nie zaczyna się tak, jak mógłby sobie wymarzyć – czyli porażką z Dominikiem Thiemem w Stuttgarcie i Alexandrem Zverevem w Halle.

Federer przechodzi trudny okres i nie odzyskuje formy również podczas Wimbledonu. Pokazuje tam za to wolę walki. W ćwierćfinale z Chorwatem Marinem Čiliciem broni trzy piłki meczowe i wygrywa 6:7, 4:6, 6:3, 7:6, 6:3. W kolejnej rundzie nie udaje mu się już jednak pokonać Kanadyjczyka Milosa Raonica – 8 lipca odpada w półfinale, po prowadzeniu w setach

2-1 i upadku, po którym pojawiają się spekulacje, że odnowiła mu się kontuzja.

Kiedy 18 dni później ogłasza koniec sezonu, nasuwają się nieuniknione i zrozumiałe pytania: czy to już koniec, czy właśnie tak wygląda zakończenie wyjątkowej kariery? Tak po prostu: *arrivederci, finito, goodbye*? Bez ostatniego fajerwerku, bez żadnych emocji związanych z pożegnaniem i bez kolejnego tytułu wielkoszlemowego? To już cztery lata, odkąd daremnie się za nim ugania, a często brakuje mu naprawdę bardzo niewiele. Przypominają mi się słowa ojca Rogera, Roberta, który wiosną 2016 roku zapytany przeze mnie, jak długo według niego jego syn może jeszcze grać w tenisa, odpowiedział: „Może to trwać nawet kilka lat, ale może i szybko się skończyć. Nigdy nie wiadomo”.

A przecież w oświadczeniu Federera dotyczącym jego długiej przerwy nic nie wskazywało na to, że mógłby to być początek końca. „Potrzebuję po prostu dużo więcej czasu, by wyleczyć kolano”. Decyzję podjął z lekarzami i członkami swojego teamu, jednomyślnie. Kontaktuję się telefonicznie z Tonym Godsickiem, jego menedżerem. Ten uspokaja: „Jeżeli chce pograć jeszcze kilka lat i nie musieć przy tym ciągle zajmować się swoim ciałem i kontuzjami, musi zafundować sobie teraz dłuższą przerwę, niestety w środku sezonu. To oznacza krótkotrwałe poświęcenie się na rzecz osiągnięcia długoterminowych celów”. Po czym dodaje: „Patrząc na to w ten sposób, to nawet dobra wiadomość dla jego fanów”. Piękne słowa, ale czy nie mają one tylko załagodzić sytuacji, uspokoić opinii publicznej, a Federerowi dać czas na znalezienie odpowiedniego momentu, by ogłosić zakończenie kariery?

Potem szybko robi się o nim cicho, jak zawsze zresztą, gdy zanurza się w prywatności. Tymczasem reprezentacja Szwajcarii

wyrusza do Brazylii nie tylko bez swojego lidera, światowej gwiazdy i wielkiej nadziei, ale i bez innego wybitnego mistrza – Stana Wawrinki. Honor helweckich tenisistów srebrnym medalem w grze podwójnej kobiet ratują na szczęście Martina Hingis i Tímea Babos.

Mniej więcej w tym czasie Federer rozmawia ze swoją żoną Mirką o tym, czy nadszedł moment na zakończenie kariery. Dokładnie opisuje tę sytuację: „To było przy kolacji, siedzieliśmy sami przy stole. Nie pamiętam, czy zapytałem ją, czy mam już dać sobie spokój, czy może jednak myśli, że mógłbym jeszcze wygrać coś znaczącego. A ona powiedziała: »Jeśli nadal to lubisz, jesteś w tym dobry i dobrze się czujesz, nie widzę powodu, dla którego nie miałbyś wygrać dużego turnieju albo nawet i pokonać wszystkich«. I to był koniec tematu. Zapytałem jeszcze tylko: »OK. A jak jutro robimy z dziećmi?«”.

W UKRYCIU

Przez kolejne sześć miesięcy do opinii publicznej docierają jedynie strzępki informacji na temat Federera. Po Wimbledonie odkłada raketę na kilka tygodni, a tenis przestaje dla niego istnieć. Natychmiast mobilizuje się jednak do zrobienia planów na najbliższy czas – bez narzekania na los i podglądania igrzysk olimpijskich w Rio czy US Open w Nowym Jorku, bo to mogłoby boleć. Myśląc pozytywnie, taką ma bowiem naturę, traktuje ten time-out jako niepowtarzalną okazję do gruntownego wyleczenia się i regeneracji. Bo ma teraz coś, co jest luksusem dla każdego zawodowego sportowca – czas.

„Nie czułem się już wystarczająco dobry, ani fizycznie, ani mentalnie – wyjaśnia później przyczyny swojej przerwy Federer. – Dlatego powiedziałem sobie: dość, chcę znów w stu procentach cieszyć się tenisem, ze wszystkim, co się z tym wiąże: treningami, regeneracją, meczami, z całą tą rutyną i podróżami. Kiedy goni się ostatkiem sił, nie ma mowy o najmniejszej radości”.

Motywacją i tym, w jaki sposób chciał wykorzystać przerwę od turniejów, zaskoczył nawet swój team. „To niewiarygodne, jak szybko potrafi zmienić nastawienie i znów spoglądać w przyszłość – opowiada jego trener Severin Lüthi pod koniec

roku. – Powiedział sobie: »Sytuacja jest taka, a nie inna, ale wykorzystamy ją najlepiej, jak się da«. I już cieszy się, że w 2017 roku wróci w topowej formie”.

Na tym trudnym etapie Lüthi zdaje sobie sprawę, jak bardzo Federer kocha sport i swoje życie zawodowego tenisisty. „To niesamowite, że nadal ma w sobie tak wiele optymizmu i potrafi wciąż tak inspirować. Jest fenomenem. To, jak chętnie trenuje, podróżuje, rozgrywa turnieje... Kiedy obserwuje się niektórych młodych zawodników, w przypadku wielu odnosi się wrażenie, że tak naprawdę wcale nie czerpią radości z tenisa”. Za to Federer, mimo upływu lat, w każdy trening i każdy plan wkłada całą energię. „Jest zawodnikiem, któremu gra daje najwięcej radości. Podczas gdy tenis w wykonaniu innych przypomina ciężką pracę, dla niego to wciąż przyjemność i zabawa. To jest w nim głęboko zakorzenione”.

W lipcu i na początku sierpnia najważniejszą osobą dla Federera jest jego fizjoterapeuta Daniel Troxler, którego Roger włączył do zespołu w październiku 2014 roku. Daniela znał już jednak od czasów igrzysk olimpijskich w Sydney w 2000 roku. Spokojny i powściągliwy Troxler wywodzi się z lekkiej atletyki i przez lata współpracował z maratończykiem Viktorem Röthlinem. Początkowo najważniejszy jest odpoczynek, „wyciszenie” ciała, wyleczenie mniejszych i większych ran. Ale Federer nie wyleguje się tylko na łóżku do masażu czy kanapie. Już na tym etapie ostrożnie rozpoczyna odbudowywanie swojej muskulatury, szczególnie lewej nogi i pleców. Cieszy się czasem spędzanym w Szwajcarii, dzień po dniu, tydzień po tygodniu; najpierw w górach w regionie Gryzonia, w swoim domku letniskowym w Valbelli, później w Wollerau nad Jeziorem Zuryskim, gdzie ma przepiękne mieszkanie. Wykorzystuje okazję, by spotykać się z przyjaciółmi,

pobawić z dziećmi, wybrać na wędrowkę i pielęgnować nieoczekiwane usystematyzowany porządek dnia.

Dwudziestego czwartego sierpnia znów na krótko pojawia się publicznie: w Nowym Jorku bierze udział w ewencie promującym Puchar Lavera, nowy turniej, który stworzył wraz z God-sickiem i Australijskim Związkiem Tenisa. Dwudziestego siódmego sierpnia rozpoczyna drugi etap odbudowy – trening siłowy, koordynacyjny i szybkościowy – podczas którego najważniejsze role odgrywają trener od przygotowania fizycznego i doradca Pierre Paganini. „To dla nas bardzo intensywny czas. Pracujemy ze sobą o wiele więcej niż zwykle – opowiada mi w listopadzie. – Wszyscy w teamie są znacznie bardziej zaangażowani niż wcześniej”.

Choć od Wimbledonu, a tym samym ostatniego meczu Federera minęło już ponad sześć tygodni, trening wciąż jest dozowany bardzo ostrożnie. „Na początku w ogóle nie mógł wykonywać niektórych ćwiczeń – mówi Paganini w tym samym wywiadzie. – Działamy krok po kroku, a na każdy z nich przeznaczamy więcej czasu, niż byłoby to konieczne normalnie. Za jednym zamachem mogłoby się źle skończyć”.

Tak ostrożny nie jest już jednak ojciec Federera, Robert. Pewnego letniego dnia na wspólną górską wędrowkę w kantonie Appenzell we wschodniej Szwajcarii wybiera trasę, którą określa jako dość prostą: najpierw kolejką na Ebenalp, stamtąd pieszo na Äscher, do zjawiskowej, zbudowanej na ścianie skalnej górskiej gospody, później na dół do jeziora Seealpsee i z powrotem do miejscowości Wasserauen. Ale jak się wkrótce okazuje, trasa nie jest lekkim niedzielnym spacerkiem. W końcu do pokonania jest wysokość 800 metrów.

„Wyruszyliśmy i przez sześć godzin musieliśmy iść pod górę – opowiada Federer jesienią. – To nie było do końca mądre, okazało się za to optymalnym sprawdzianem dla mojego kolana. Choć wszyscy, także Mirka i dziewczynki, następnego dnia mieli zakwasy, ja czułem się dobrze. Gdy było już po wszystkim, powiedziałem sobie: w takim razie z moim kolaniem nie jest tak źle”.

Razem z Paganinim nadal w pierwszej kolejności pracuje w siłowni, z taśmami treningowymi, wykorzystując ciężar swojego ciała, albo z piłkami. Paganini jest zachwycony jego zaangażowaniem: „Nic nikomu nie jest dłużny, ale pracuje każdego dnia, jak gdyby każdemu był coś winien. Niezwykle poważnie, intensywnie, a mimo to na luzie. Nie ma dnia, w którym nie pojawiłby się na treningu bez uśmiechu na twarzy”.

Dziewiętnastego października, razem z dwoma czy trzema innymi dziennikarzami ze Szwajcarii, spotykam Federera w Manacor na Majorce, gdzie jest gościem honorowym podczas otwarcia imponującej Akademii Tenisowej Rafaela Nadala. Także tutaj bije od niego optymizm i radość, o której cały czas mówi jego team. „Działamy ściśle według naszego »rozkładu jazdy«” – zdradza sam zainteresowany, sprawiając wrażenie pełnego wiary i spokoju. Spekulacje, że mógłby już nie powrócić do zawodowego tenisa, rozwiewa na tarasie klubowego budynku:

– Już wcześniej wiedziałem, że życie jest piękne nawet i bez tenisa. Mam jednak przeczucie, że coś mnie jeszcze w nim spotka.

– Planujesz zbudować odpowiednią formę, która pozwoliłaby ci odejść w blasku wspaniałego sukcesu, takiego ostatniego „wow”? – pytam go w drodze powrotnej na lotnisko.

Odpowiada spontanicznie, zupełnie bez zastanowienia:

– Moje ostatnie „wow”? To może potrwać lata. W innym wypadku nie planowałbym tak długiej przerwy.

Ma nadzieję, że wspomniana pauza wyjdzie na zdrowie jego ciała i całej karierze.

– Taki długi time-out raz na dwadzieścia lat jest naprawdę okej.

Ale i on pozostaje ostrożny. Wie, że jego ciało ma za sobą długą podróż, a zegar tyka. We wrześniu prawie w ogóle nie gra w tenisa, w sumie może dziesięć–dwanaście godzin, żeby się nie przeforsować.

– Najważniejsze tygodnie moich treningów są jeszcze przede mną.

Tego, kto przepowiedziałby mu, jak spektakularny będzie jego powrót do rywalizacji, prawdopodobnie by wyśmiał. W tamto jesienne popołudnie na Majorce wybiega jednak w przyszłość:

– Najpierw muszę rozegrać z pięć turniejów, żeby zacząć myśleć o wygranym tytule. Po takiej kontuzji nie ma powodu do euforii. Do Australian Open mam jeszcze około osiemdziesięciu dni. To dużo, ale dopiero najbliższe sześć–osiem tygodni pokaże, czy moje kolano faktycznie znów jest w dobrym stanie.

W ten październikowy dzień Federer i Nadal, dwaj najlepsi tenisiści ostatnich 12 lat, chcieli jeszcze rozegrać charytatywny mecz pokazowy, ale nie było na to szans. Żaden z nich nie jest w stanie zaprezentować czegoś, co przypominałoby światową klasę. Tego dnia wyglądają raczej jak dwaj weterani, którzy spotykają się po długiej przerwie, by powspominać pełną chwały przeszłość, porozmawiać o wspólnych przeżyciach i nawzajem zasypać się komplementami. Ludzie przeszłości – ale na pewno nie gracze, którzy mieliby bezwzględnie zdominować kolejny sezon. Kończy się na odbiciu kilku piłek z juniorami z klubu na minikorcie tenisowym.

W listopadzie Federer pozwala sobie na dziesięciodniowy urlop. Opuszcza Szwajcarię i leci do Dubaju na ostatnią

i najważniejszą część fazy odbudowy. Także na tym etapie najważniejszą rolę odgrywa Paganini, choć trening fizyczny powoli schodzi na dalszy plan. Roger zaczyna za to robić to, co potrafi najlepiej, czyli grać w tenisa. Treningi nad Zatoką Perską również przebiegają bez zakłóceń. Ma tam do dyspozycji dobrych sparingpartnerów, na przykład Amerykanina Ernesto Escobedo czy Francuza Lucasa Pouille'a. Im bliżej końca roku, tym jest silniejszy. Jakoś w grudniu Lüthi mówi mu: „Jeśli w Melbourne będziesz grał tak dobrze, możesz nawet wygrać Australian Open”. Rzucił to oczywiście z przymrużeniem oka.

Federer nie może się już doczekać, kiedy znów zagra w jakimś turnieju. Te liczne sety treningowe są niezłe, a jeszcze lepsze jest to, że prawie wszystkie je wygrał. Ale one i tak nie zastąpią prawdziwego turnieju. Dwudziestego drugiego grudnia za pomocą live streamu na Twitterze umożliwia kibicom śledzenie swojego treningu w Dubaju. Przypina sobie mikrofon i komentuje wszystko, co robi. Jest przy tym tak zmotywowany, jak gdyby był juniorem, który nie posiada się z radości, bo wkrótce będzie mógł zagrać z największymi – w każdym razie zupełnie nie sprawia wrażenia, że jest utytułowanym 35-latkim, który zdobył już wszystko, co możliwe.



Kiedy Roger próbował oburęcznego backhandu jako czterolatek, rakietą wciąż była dla niego za ciężka

8 to jego ulubiony numer. Tutaj 8 sierpnia 1989 roku w swoje 8 urodziny

Fot. Roger Federer Foundation (2)



Poniżej: Z dzisiejszą żoną, a ówczesną dziewczyną Mirką z trofeum za zwycięstwo w Wimbledonie w 2003 roku

Na dole: Po zwycięstwie z Nadalem w finale Nasdaq-100 Open w Key Biscayne w 2005 roku



Fot. Cynthia Lum/WireImage/Getty Images (2)



Koniec fragmentu
Zapraszamy do księgarń



WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

